DZIŚ I JUTRO.



„BOŻE CIAŁO"

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. MAJA 1931. NR. 9.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. MAJA 1931. № 9.

MICHAŁ SZYMAŃSKI, Zakopane

O KAPLICZKACH PODHALAŃSKICH

Tak, jak gdzieniegdzie drogi są wysadzane krzewami, topolami, lub wierzbą, tak tu, u nas, na Podhalu, wokrąg dróg, pośród zrzadka rozmieszczonych drzew skłaniają się drewniane kapliczki, krzyże i wysmukłe półkaplice zawierające figury „Świątków", lub „Jezusicków Frasobliwych". Nierzadko i chałupa góralska jest ozdobiona filarkowemi kapliczkami, w których widnieje: „Bolejący Jezusicek", lub „Najświętsza Panienecka", pominąwszy często spotykanych a wielce oryginalnych Świątków.



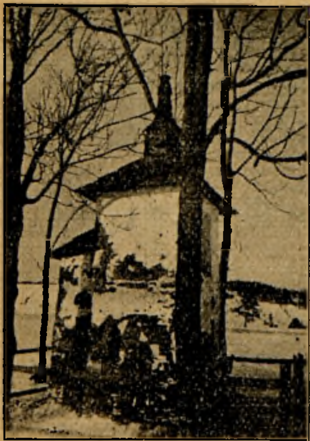
Bańska na Podhalu
(*wewnątrz kapliczki figurka „Jezusicka Frasobliwego"*)



Kapliczka na Bachledach

Kaplice przydrożne bywają murowane, lub też drewniane, zaledwie obrzucone tynkiem, pomalowanym na niebiesko.

Fundatorami kapliczek, porozrzucanych tak u nas, na polskiej stronie, jak na Spiszu i Orawie po stronie czeskiej, byli często zamożniejsi gazdowie wsiowi. Wykonaniem tychże zajmowali się rodzimi artyści góralscy, wkładając w nie, niekiedy najzupełniej nieświadomie, „bajeczny artyzm", będący w swoim



Kapliczka u Klusiów

charakterze odbiciem ówczesnej ich kultury, jak również potrzeb duchowych. Zwłaszcza te z kapliczek, które widnieją na starych gazdowskich domach, odznaczają się różnorodnem niezespoleniem barw.

Dzisiaj szczęśliwie zrozumiano przedziwne piękno tych rodzimych kapliczek-zabytków, omawiając je niejednokrotnie.

Każdy musi je spostrzec, przeszedłszy się drogą, od Zakopanego w stronę bliskiego Poronina. Najpiękniejszemi z nich są właśnie te, które goszczą jeszcze stare w stylu, odleglejsze wsie Podhala. Spójrzmy choćby po Dzianiszu, Ratułowie, Nowem Bystrem, Witowie, Czarnym Dunajcu, aż na stronę Czechosłowacką.



Dziamisz

Najmniej znanemi kapliczkami, posiadającemi swoisto odrębny urok, są te, które wystawiono często w jakiemś odosobnieniu, wpośród pola, czy łąki, dokąd dostęp jest cośkolwiek trudniejszy (między innemi: kapliczka Matki Boskiej na Zoniówce, opodal Jaszczurówki, i kapliczka u Klusiów, w obrębie Olczy).

Pozatem istnieją jeszcze tak zwane krzyże-kapliczki, z których jedna zdobi grób Stanisława Witkiewicza, mieszczący się na Starym Cmentarzu w Zakopanem. Jest ona jakby darem wdzięczności górali dla twórcy stylu rodzimego tak zw. podhalańskiego.

MAMUSIOM...

Za miłość czystą i świętą
Co w każdej strzeże nas chwili,
Za jasność matczynej twarzy
Gdy się nad dzieckiem pochyli.
Za dłonie splecione nad nami
By strzedz od brudu i grzechu,
Za morze wyrozumienia
Co jest w matczynym uśmiechu...
Za łzy samotne, wylane
W czuwań bezsennych przymusie...
Dziś chcemy wam podziękować,
Nasze najdroższe mamusie!!!



Frydman na Spiszu

GUSTAW MORCINEK

W HUCIE

Fragment.

Był wysoki mur.

Czarny, odrapany, z tynku obity — bieżał ogromnem koliskiem przez pola, wzdłuż płonych usypisk, wymijał wyrwy i wądolce, gdzie w czarnej wodzie światło dzienne konało, przemykał się pobok licznych domków robotniczych, towarzyszył przez chwilę drodze, potem się załamał, rozszczepił w szerokie wrota, którędy w jego obręb sznury lśniących szyn wpełzały, wspiął się jeszcze zboku na stok rudej hałdy, zleciał zpowrotem do jej podnóżek i przytulił się do wysokiej ściany ogromnego gmachu.

Po wierzchu, po jego kalenicy szczerzyły się ostremi zębcami powtykane w miękki kiedyś cement kawałki potłuczonego szkła, odłamki blachy, strzępy drutów kolczastych i żelazne zadziory. Po to, żeby nikt nie ośmielił się tamtędy przełazić. Ręce i nogi porzezałby, na szmaty podarł — a nie przeszedłby. Mądrze to było zmajstrowane.

Dwa wejścia tylko pozwalały do środka wniknąć; przez żelazne wrota wjeżdżały dyszące lokomotywy z różańcami dzwoniących wagonów, napełnionych powierzch rudą, wapnem, węglem lub koksem, a przez szeroką sień sklepioną w ogromnym gmachu wpływała co dnia wezbrana rzeka ludzka i co dnia wylewała się na ulicę. Rano i wieczorem.

Gardłowy, niski, chrapliwy ryk syreny otrębował przeciągle tamte chwile z dachu kotłowni.

Codziennie, rano i wieczorem, zanurzały się w obrębie murów czarne tłumy robotników, kłębiły się u ich gardzieli, huczały stłumionym gwarem, syciły zadymione powietrze ostrym swędem potu, a kroki ich dudniły mnogim, pomierzwionym rytmem w sklepistej sieni.

Poza murami kołtunił się krzyczący zgiełk żelaza, maszyn i ognia. Zmagała się do ostatnich granic wytężona praca ludzkich mięśni. Syczały strumienie pary z wąskich wylotów rur, wyły rozsmigane koła i transmisje, zawodziły jękliwie motory, zgrzytały walce i krany, potworne młoty parowe spadały z pod stropu na podstawione bryły żelaza, rozbijały je na czerwoną miazgę, miesiły jak ciasto, prały naokoło wichurą iskier, stękały ludzkim głosem a echo ich zduszonego jęku błąkało się przerażone po załukach nieprzejrzanych zabudowań.

Wzdłuż wyniosłych, czarnych, zadymionych hal przepływały leniwie stężałe rzeki roztopionego żelaza, a biały ich żar rożegał po ścianach i na stropie krwawe, oślepiające pożogi. Światło słoneczne gasło w nich, zamieniało się w szary popiół. Z piekielnych pieców wyciekały ruchliwe strugi płynnego metalu w podstawione ogromne tygle, kolebiące się na krępych łańcuchach; z nachylonych szyj besemerowskich pieców tryskały ryczące pióropusze rdzawoniebieskich płomienisk, biły pod dachy skośnym rzutem, podobne do ognistej burzy, co się w kształcie roztrzęsionych mietlic na ciemny świat wyrywa; z rozwartych czeluści huczały sine płomienie, skręcały się w opętańcze wiry, napełniały skwarem dyszące płuca ludzkie, rzygały rudem kłębiskiem ciężkich, duszących dymów, i truły powietrze swym jadem; a miejscami zastygały potężne bloki stali, co w rozpalonym piachu leżały, zdychające w swej spiekocie. Gdzie indziej znowu goniły oszalałe smugi ognistych skrętów, trzaskały sobą po żelaznych płytach, przecinały gęste mroki jarzącemi biczami, trzepotały się, trzymane w zębcach karbowanych kleszczy, zakreślały wymierzone drogi i znikały wśród wyjących walców.

Czarna, rozpalona ziemia dygotała pod ludzkiemi stopami.

Pod sufitem, pod rozpiętemi krokwiami żelaznemi sunęły terkoczące krany. Zawieszone w ciężkich mrokach, prawie, że niewidoczne leciały na zębatych kołach, wstrzymywały się, cofały, znów się zrywały i goniły niestrudzone, podobne do potwornych bestyj, co żeru na ziemi łakomie szukają. Raz wraz opuszczały rozkołebane łańcuchy z sękatemi, nakrzyż złożonemi paluchami. ujmowały zanurzony w piachu płomienisty ciężar, zachrzęściły z wysiłku, podnosiły wysoko i teraz gnały ponad ludźmi gdzieś na drugi kraniec hali, radujące się metalicznem szczekaniem rozżarzonym łupem. A za lecącem w powietrzu żelazem rozlewały się po ścianach łuny pożarne.

Gdzie indziej znowu, z innej strony hali opuszczały się z uwieszonych kranów długie ramieniska, zaopatrzone poziomą ostrogą. Pod ścianami czernił się rząd żelaznych koryt, napełnionych złomem i wapnem. Z przodu szczerzyły się zadziory. W ich ogięcia wrażała się ostroga, a kiedy utkwiła rzetelnie w szczelinie zadziora, wtedy kran zaterkotał zębcami, podniósł uwięzione koryto, zakreślił niem szerokie półkole i jął teraz wsuwać w płonącą gardziel rozwartego pieca. Płomienie buchały podartemi jęzorami, lizały z szumem osmalone ściany, prały skołtunionym dymem pod dachy, a ludzie cofali się, zasłaniając twarz skórzanym fartuchem. A kiedy z koryta wywaliła się zawartość w rozbełtaną topiel białego żelaza, kiedy ramienisko wydobyło ostrogę z korytem z ryczącej czeluści, wtedy opadała ciężka zasuwa i dusiła wydzierające się płomienie.

W głębi hali rozwalały się w czarnym pyle rozrzucone zlepiska wystygłej lawy. Pomierzwione w ogromne skiby, czarne z wierzchu, gasnące w opuszczeniu, leżały jak potworne cielska, z których życie wycieka. Dyszały jeszcze ostatkiem utajonego żaru.

Ponad niemi, pod dachem uwijał się chichoczący kran. Czepiał się i łaził niewidocznemi mackami po gzymsach rozpiętych trawersów, podobny do ogromnego, skurczonego pająka z obwisłym brzuchem. Z podbrzusza jego opuszczał się w nizinę pęk stalowych lin z zawieszonym kręgiem stalowym, pogmerał nim w skibowej mierzwie i wywlekał wysoko olbrzymią kulę żelazną. Potem jął szukać miejsca, gdzieby uderzyć. Skoczył tu, skoczył tam, zatrzymał się na chwilę, znowu podleciał drobinkę — aż znalazł... A wtedy z pod kranu odrywała się nieoczekiwanie tamta kula, spadała czarną smugą i z głuchem stęknięciem miażdżyła upatrzoną bryłę w dolinie. Rozsypał się żar dotychczas w trzewiach jej ukryty, zakłębił się czarny pył, rozprysły się szkliste bryzgi szerokiemi łukami. Kula zatoczyła się z westchnieniem i przepadła w skibach. Kran poleciał za nią u góry. Opuścił macki i jął szukać. Raz tu, to znowu tam, długo, naoślep. A kiedy ją znalazł, zaniósł się radosnem szczekaniem, podnosił wysoko, przeczekał, aż się uciszy jej kołysanie, potem wypatrzył nową ofiarę i znienacka puszczał. I tak ciągle, wkółko przez calutką szychtę.

Czarni ludzie krzątali się wśród ognia i maszyn, mali jacyś, niepozorni, przebiegali zdyszani ruchome kręgi świateł, tonęli w mrokach, wynurzali się z dymów, zziajani, błyszczący potem na spalonych twarzach, jakby rudą oliwą wysmarowani, przybrani w skórzane fartuchy, obdarci, w zetlonych łachmanach. Czasem wychynął człowiek do straszydła podobny, w ogromnym hełmie drucianym na głowie, z dużemi ciemnemi szkłami na otworach ocznych. Zaglądał przez fioletowe tafelki szklane w szpary opuszczonych zasuw, ślepił czujnemi źrenicami w głąb pieca, mierzył spojrzeniem wysokość zmarszczek żelaznej kipieli, wybierał chochlą rozbełtany metal i śpieszył z nim do próby. Nalewał żelazo w słoiki i czekał, aż skrzepnie. A gdy z przewróconego słoika wysunął się jego rozżarzony kształt, rozkuwali go drudzy małemi młotkami na placki. Wtedy majster

mrużył skupione oczy, przyglądał się, ważył coś w głowie, rzucał rozkazy...

Wysoko nad piecami, za pręcianą balustradą, między dymami, co raz pojawiał się kształt człowieka. Unurzany w krwistej pożodze, omotany zwojami iskier, czarny — błąkał się po niewidocznych ścieżkach, znikał za dymami, wychylał się zpowrotem, czyniący niezrozumiałe ruchy w cudacznych pokłonach. Czasem coś krzyczał na ludzi w nizinie, czasem tkwił nachylony nad tyglem, co głęboko pod jego spojrzeniem przechylał się powoli z płynnem żelazem, czasem podnosił ramiona, dawał znaki i gdzieś znikał. Za nim przychodził drugi i to samo czynił, podobny do tajemniczego maga, co złowieszcze zaklęcia nad ogniem sprawuje.

A zbałwanione ognie gziły się pod ich stopami, prały płomienistemi płachtami, rozdzierały je z wyciem na strzępy, ciskały w mroki, konały w duszących dymach.

Huta tętniła pracą.

Zgmatwane głosy ludzkie, krzyki maszyn i szum pary zlewały się w chaos.

A ponad tem wszystkiem niosły się pod niebo opęczniałe słupy dymów, które za dnia gasiły słońce, w nocy zaś rozpalały się rdzawemi pożarami.

Kiedy Gustlik znalazł się po raz pierwszy w obrębie tamtych murów, chodził jak obłąkany. Oszałamiał go potworny rytm pracy, ogłuszał krzyk maszyn i ludzi, nie mógł myśli skupić. Było mu tak, jakby się na środku wezbranej rzeki znalazł, co oporne tamy zerwała, i teraz szaleje wolnością.

Zdarzyło się, że chłopak, młody Kuczera, pracujący przy spuście u wielkiego pieca, uległ poparzeniu. Płynne żelazo obryzgało mu nogi. Na jego miejsce przyjęto do pracy Gustlika. Dziwił się Wałoszek, że tak gładko wszystko poszło. Spodziewał się, że trafi na trudności. Gustlik przecież z cesarskiej strony, potem sam Wałoszek znajdował się na czarnej liście, jako jeden z tych, co się okoniem stawiają wobec dyrektora Langhorsta. Na szczęście, w kancelarji znajdował się jego zastępca, inżynier Sohlich. Wiedział, że trzeba nowego chłopca za Kuczerę. Ponieważ Gustlik nadarzył się w porę, przyjął go bez wahania. Co on zacz, jakich przekonań politycznych czy narodowych, to było dla Sohlicha rzeczą uboczną. Grunt, że zdrowy i chętny do pracy.

Gustlik został więc tak zwanym helferem. Spełniał podrzędniejszą pracę. Przynosił rozrobioną glinę szamotową, podawał młoty i sztaby, uderzał perlikiem w podstawione kliny, a przedewszystkiem słuchał starego Handzla, który się nim opiekował. Handzel przez dwanaście godzin ślęczał pod wielkim piecem, piekł się, rozpływał w pocie, a gdy przeszedł czas, że w małym zwierniku, opatrzonym grubem fioletowem szkłem, dojrzał w piecu dostateczną miarę wytopionego żelaza, przystępował do przebicia otworów w murze. Zapchane były szczelnie szamotową gliną. Jeden z nich, umieszczony wyżej zboku, służył do odpływu szlaki. Drugi u dołu do żelaza. Gdy jedni hutnicy przebijali górny otwór, żduchając weń długiemi sztabami, Handzel zabierał się statecznie i z nabożeństwem do otwarcia dolnego przepustu.

Były cztery piecie. U stóp każdego rozbiegała się lekko nachylona płaszczyzna, pokryta grubą warstwą miałkiego piachu. Cała ta przestrzeń była poorana wklęsłemi grzędami, powiązana wymyślną plątaniną rowków. Koło nich czekali hutnicy z długiemi gracami.

Handzel ujmował sztabę, wykruszał w otworze sporo gliny, wraził ile się dało i, krzyknąwszy na Gustlika, czekał. A Gustlik chwytał ciężki młot w poplute dłonie, wymierzał drogę oczyma i jął bić od dołu w głowicę sztaby. Młot kołysał się powoli w jego drobnych, lecz muskularnych ramionach, jak ciężkie wahadło, zakreślał równe wycinki koła, spadał z jękiem na dzwoniący grot, odrywał się, poleciał zpowrotem i znów spadał, raz po razie. A za każdem uderzeniem Handzel cofał lekko sztabę,

przekręcał w dłoni i czekał na nowy cios, mrużąc zlekka powieki.

Kiedy zanurzony koniec sztaby rozżarzył się i można było już w dłoni wyczuć, że się opiera i poddaje naciskowi spieczonej gliny, wydobywał ją z otworu, odrzucał i porywał drugą. I znowu tak długo trzymał ją w ustępującej głębi, aż przyszedł czas, że koniec jej rozmiękczył się w żarze. Wyrzucał więc nieużytek i sięgał po trzecią. Potem po czwartą i następną.

Potężne fundamenty pieca dudniły i dygotały pod naporem rozpętanej burzy ognistej, co w ich wnętrzu rzucała się wściekła. Rozparzone, suche powietrze piekło oczy, gardło i płuca, pot ściekał brudnemi strużkami po twarzach, przemaczał czarne koszule, zgarnięte mięśnie napinały się w obłe łuki, przesuwały się pod czerwoną skórą, prężyły i znowu rozbiegały, a dyszące płuca z trudem chwytały drobinę chłodniejszego powietrza, co się czasem z zadymionem wiatrem pod huczące cielska pieców przybłąkało.

Nadchodziła chwila, że znużone uderzenie młota trafiało na miękkość. Handzel jednym rzutem wyrzucał sztabę, a w te pędy runęła z otworu gruba, pryskająca struga białego metalu. Zamykały się oczy poniewoli, rażone boleśnie, jak blaskiem słonecznym, uchylały się ludzkie postacie przed buchającym żarem, na ścianach pieca i po żelaznych wiązadłach dachu rozleciała się krwawa pożoga, a robotnicy, czatujący z gracami na piaskowych grzędach, wdziewali szybko na dłonie przestronne rękawice skórzane i zapuszczali na twarze skórzane zasłony. Czekali przywarowani, jak na cenny łup, co im się nie śmie wymknąć z pod ręki.

Z otworu biła kaskada rozbełtanego słońca płynego. W krótkiem, płaskiem ogięciu spadała w wygrzebany rów piaskowy, przemieniała się w leniwy strumień, bieżała wądolcem do najbliższego zakrętu, wygięła się, spięła lekko na ścianę, wykręciła i poleciała dalej. Za nią szerzył się w powietrzu niepojęty żar, naokoło rozbiegała się coraz większa łuna, a ludzie patrzyli w strugę, jak w żywą bestję, którą śledzić trzeba w każdym ruchu, szpiegować jej przyszłe zamiary, jednem uderzeniem gracy w zarodku je zniszczyć i pokierować w czekające doły piaskowe.

Czarne postacie nachylały się i wysuwały z ramion długie żelazne styliska z gracami, zapierały przejście, zmuszały złą bestję do zawrotu, prowadziły, gdzie jej zgóry drogę obmyślono, a płynący ogień sapał głucho, prychał skrami, kipiał z wściekłości i marszczył się w szepleniące skibki.

A z pieca lała się wciąż struga płynnego słońca.

Kiedy już ostatki jej wyciekły, kiedy już ledwie krople sączyły się z otworu, Handzel jął zapychać wylot wałkami wilgotnego szamotu. Wsuwał je do środka tępym drągiem żelaznym, tak długo, aż zapchał po brzegi.

Najcięższa robota na kilka godzin skończona. Odetchnąć będzie teraz można, powietrza chłodnego zaczerpnąć, pot z twarzy obetrzeć...

Na piaskowem usypisku zaś konały spokojnie prostokątne tafle surowca, powlekały się szarością, żar z nich wyciekał, roztapiał się w powietrzu, łuny gasły pod niemi. Po kilku godzinach przyjdą ludzie, porozbijają je ciężkiemi młotami i rozpoczną wrzucać w uwieszone nad nimi wagoniki lub będą je zwalali na dzwoniące usypiska w podstawione wagony.

Gustlik uśmiechnął się, gdy po raz pierwszy usłyszał ich nazwę. „Gęsiami" nazywali ludzie tamte wystygłe tafle ciężkiego, porowatego i dłonie raniącego żelaziwa.

Do nowej pracy rychło przywykł. W pierwszych dniach skarżył się Wałoszkowi na spiekotę, na kłucie w oczach i bóle w krzyżach. Skóra na rękach i twarzy poczerwieniała, a miejscami pozwalała się ścierać palcami, jak zmięta szmata.

— To nic!.., — pocieszał wuj. — To

każdy z nas przechodzi. Zpoczątku zda się człowiekowi, że nie wydzierży, ale potem przywyknie!... Człowiek do wszystkiego może przywyknąć!... — dodawał z namaszczeniem.

Chłopak w pierwszych dniach żłopał nienasycenie zimną wodę z konewki. Paliło go w piersiach.

— Nie pij tela wody, synek!... — pouczał go Handzel. — Bo to niewiela pomoże. Pocić się bydziesz jeszcze barzi i jeszcze więcej wody wychlapiesz. Z tego jeny brzuch boli. Jeszcze mogą ci sie w nim żaby zaplągnąć!... Nie pij tela wody!...

Z czasem i tego się oduczył. Podpatrywał Handzla i czynił to, co u niego widział. I dochodził do przekonania, że naprawdę można do wszystkiego przywyknąć, jak mawiał wuj. Porównywał pracę w kotłowni w Karwinie z pracą obecną. Uśmiechał się, bo widział, że tamte wysiłki i spiekota przy kotłach była zaledwie cieniem tego wszystkiego, co spotykał w hucie. Uśmiechał się wtedy tym uśmiechem mądrości, co pozwala istotę rzeczy przejrzeć i człowieka przekonać, że wszystko jest jakoby złudą.

Zarobił niewiele więcej, aniżeli w kopalni karwińskiej. Wujowi płacił za całkowite utrzymanie, boć trudno było inaczej. Płacił tyle, coby gdzie indziej żądano, gdyby u obcych ludzi kątem mieszkał. Wałoszek nie chciał pieniędzy przyjąć, opuszczał mu z ceny, lecz honorny Gustlik zaciął się i także nie ustąpił.

Do pracy chodzili razem. Wałoszek przez cały dzień uwijał się na najwyższym szczycie drugiego pieca. Na „Emmie". Bo każdy piec miał swoje imię. Taki już był zwyczaj. Małe waganiki wlokły się na wyprężonych linach pod górę, skwierczały kółkami z wysiłku, podchodziły do rozwierającego się otworu i zatrzymywały się. Wałoszek chwytał je wtedy i dopychał na miejsce. Ujmował za wystające uszaki i wywracał. W głąb zakrytego otworu zsypywał się z hurkotem zamęt czerwonej rudy lub wapna z koksem. Kiedy otwór był wypełniony. ujmował oburącz łańcuch. zapierał się nogami i ciągnął. Wtedy z otworu wynurzał się ogromny lej, tkwący w nim swym odwróconym wierzchołkiem, wieniec sinych płomieni wydymał się z szumem ponad piec, rozbełtał się czarnym dymem, a w gorejącą czeluść zsuwał się z krzykiem nagromadzony materjał. Potem dzwon opuszczał się i płomienie gasły.

Jeżeli czasem Gustlik przebiegał podwórze, podnosił głowę na „Emmę", i wtedy widział sylwetkę swojego wuja, rysującego się na niebie. Radował się wówczas, bo znikało uczucie osamotnienia, jakie mu towarzyszyło w pracy między obcymi sobie ludźmi. Czasami zaś w nocy czatował u stóp „Emmy", by zobaczyć wybuchające płomienie. Nie mógł się ich widokiem nasycić. Czekał. A gdy pod ciemne niebo trysnęły krwawe szmaty, gdy je wiatr rozdął i jął garściami rzucać pod chmury, truchlało w nim serce z rodosnego przerażenia. Wiedział, że sprawcą ich rozpętania był jego wuj, że on tam patrzy w huczące ich jądro, i ramieniem zasłania spłoszone oczy, a gdy zechce, przetnie je opadającym dzwonem, jakby dłonią, nakryje i zdusi. Podobnie, jakby płomień świecy w palcach zmełł. Wtedy rozpierał się w nim podziw dla człowieka silnego, co swym rozumem wszystko ujarzmić potrafi. Nawet płomienie. A tym silnym człowiekiem był jego wuj!

A równocześnie rozumiał niejasno, że w nim samym coś tężeje i zwiera się w twardy chropowaty surowiec, jak tamto żelazo, co z onych płomieni wraz z Handzlem wyzwala i wygrzebaną ścieżyną do piaskowych wnęk prowadzi. Ale co to było, nie wiedział. W każdym razie coś takiego, co oczom zimnego patrzenia użycza, a czucie ludzkie czemś szarem powleka. Podobnie, jak u tamtych „gęsi", które zszarzały już doimentu z wierzchu, a wnętrze ich jeszcze rozżarzone.

O ŚWICIE...

KONWALJE PERŁOWE DZWONIĄ
W BLADY BLASK RANNY,
ANIOŁOWIE GŁOWY PROMIENNE KŁONIĄ
W OKOŁO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY,
CO STOJĄC NA KULI ZIEMSKIEJ
W ŚRODKU WSZECHŚWIATA,
MOCNO, CIERPLIWIE STOPAMI BIAŁEMI
CIELSKO WĘŻA PRZYGNIATA.

MAŁA JEST STOPA DZIEWICZA,
DROBNA, BOSA — — —
LUDZIE BIEDNI CHOĆ NIE WIEDZĄ O NICZEM
UFNIE PATRZĄ W NIEBIOSA.
ANIELSKĄ SFERĘ OTWIERA
DOBRY BRZASK RANNY,
KONWALJE DZWONIĄ — GŁOWĘ WĘŻA ŚCIERA
STOPA NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

M. CZERKAWSKA



„Boże Ciało“

ZIELONE ŚWIĄTKI



Na procesji

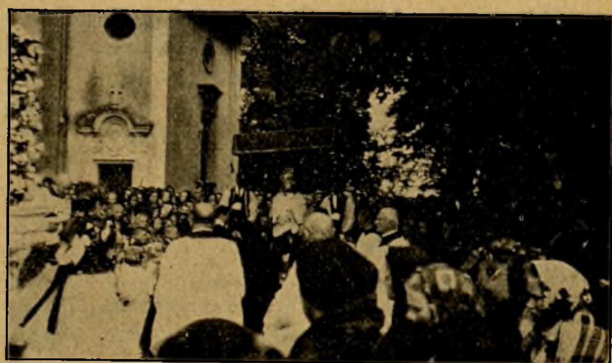
Zebrałem myśli szczątki,
znalazłem w duszy ślad,
jak człek Zielone Świątki
obchodził dawnych lat —
i dziwię się sam sobie,
i nie wiem, czemu, skąd? —
że niema w owej dobie
tych dawnych, błogich Świąt,
kiedy to przyzbę swoją,
ochotnie, nie przez mus,
rokrocznie człowiek stroił,
w gałęzie zdobił brzóz,
i w wonne tataraki
przybierał każdy kąt!...

— — — — — —

ze wspomnień dziś — majaki;
wspomnienia — z dawnych [świąt!...

To też ilekroć chwila
nadchodzi owych dni,
człek smutnie głowę schyla,
a w oczach lśnią mu łzy!...
i tylko w duszy na dnie,
gdzie niezatarty ślad —
wszyściutko a dokładnie
widzi, jak z dawnych lat,
tę przyzbę chaty swojej
przybiera w brzózek rząd
i w tataraki stroi
na dzień Zielonych Świąt!...

E. KŁONIECKI.



Błogosławieństwo

PIERWSZA I OSTATNIA WYPRAWA ARCHEOLOGICZNA

— Za młodu chciałem być archeologiem — powiedział Bąk — rozpocząłem już nawet poszukiwania i badania, ale...

— No co „ale"?

— Skończyły się smutno, prawie że tragicznie. A miałem wielkie zamiłowanie w tym kierunku.

— A cóż się stało z zamiłowaniem?

— Też się skończyło. Bo źle działa wogóle na wszystko zawód lub niepowodzenie. Właściwie moje pierwsze badania i poszukiwania archeologiczne spotkały się z wielkiem rozczarowaniem.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem! — Może dlatego, że byłem bardzo młody i niedoświadczony.

— A tak. A ile wtedy miałeś lat?

— Czekaj... To było już dawno, bardzo dawno. Może ze sześć lat temu. Tak... miałem wtedy lat czternaście.

— No, to byłeś rzeczywiście dość młody. A czego ty szukałeś i gdzie?

— Szukałem starych grobów w podziemiach.

— Ach! Jak to było?

— Opowiedzieć ci to długo czy krótko?

— W sam raz. Mów dokładnie, ale bez dodatków. Żeby było zajmujące, ale prawdziwe.

— Ho, ho! Takie wymagania. Jeszcze mi warunki dyktujesz.

— No, już mów, mów!

— Więc chodziłem wtedy do gimnazjum i miałem kolegów.

— No, to prawda, tak bywa.

— A widzisz. Dwóch lubiłem więcej niż innych. Jeden nazywał się Dziubuś Franciszek, drugi Pikulski Antoni. — Dziubuś był wysoki i chudy, Pikulski mały i gruby. Dziubuś nie miał nic, nawet ojca i matki, a Pikulski miał dużo wszystkiego, nawet babkę.

— Za szeroko opowiadasz.

— Wcale nie szeroko. To wszystko jest prawda.

— Ale niepotrzebne.

— Co? — Właśnie potrzebne! Babka Pikulskiego miała kamienicę, a kamienica miała piwnice.

— No, tak bywa.

— A widzisz! Więc chodzliśmy wszędzie zawsze razem we trójkę.

— Kto? Ty, babka i kamienica?

— Eh, nie. Dziubuś, Pikulski i ja.

— Acha! Ale cóż z tą archeologją?

— Właśnie do tego zmierzam. Więc raz właśnie obok kamienicy babki Pikulskiego rozkopywali ulicę. I coś tam znaleźli. Jakieś kości, jakieś naczynia i zardzewiałe żelazo. Bardzo byliśmy ciekawi skąd się to tam wzięło.

— Pewno przedtem był tam śmietnik.

— Śmietnik!? Wcale nie śmietnik, tylko stare cmentarzysko. Wiesz? — Te kości to były ludzkie, te naczynia były bardzo liczne, a żelazo, to była dawna, bardzo dawna broń. A wszystko razem było ogromnie ciekawe. Chcieliśmy mieć taką niezwykłą starożytną broń, ale nam nie chcieli wcale dać. Wywieźli to do jakiegoś muzeum, czy gdzieś...

— Może na śmietnik?

— Ech, ty ciągle z tym śmietnikiem. Jak jeszcze raz o tem powiesz, to już nie będę opowiadać!

— Już nic o tem nie powiem, ani słowa, no opowiadaj dalej.

— Więc Pikulski poddał nam świetną myśl. Przecież kamienica jego babki była zaraz obok tej ulicy, którą rozkopali. Ta kamienica miała piwnice.

— Ale to już mówiłeś!

Bąk się rozzłościł: mówiłem, ale nie wszystko. Miała niezwykłe piwnice. Trzypiętrowe!

— Co?

— A tak! Jedno piętro pod drugiem, aż do trzech. To była bardzo stara kamienica. Pikulski tam w tych lochach nigdy nie był, ale o tem wiedział doskonale. Więc z tej piwnicy, co jest najgłębiej postanowiliśmy zrobić podkop, do tego cmentarzyska, co było pod ulicą. Tak podkop. To mogło być bardzo ciekawe pełne niebezpieczeństwa i emocji.

Acha, zapomniałem powiedzieć, że w tej kamienicy był sklep towarów spożywczych, a Pikulski miał siostrę.

— Ale co to ma do podkopu?

— Ma. — Jednego dnia babka Pikulskiego wyjechała, i nie było jej.

— No, pewno.

A my właśnie wtedy urządziliśmy naszą archeologiczną wyprawę. Ja wystarałem się o narzędzia, to znaczy wielki młotek, latarkę elektryczną, świeczkę i zapałki. Pikulski przyniósł żywność (wziął na kredyt ze sklepu w kamienicy swojej babki). Były trzy bułki, trzy ogórki, trzy piklingi i trzy jabłka. Dziubuś napisał bez błędu list pożegnalny, na wypadek gdybyśmy nie wrócili. List ten daliśmy siostrze Pikulskiego, z poleceniem, żeby go po naszej śmierci oddała naszym rodzicom, Pikulskiego i moim. Dziubusiowym nie bo ich nie miał.

— Słusznie! I cóż ta siostra?

— A jak siostra. Pobeczała, bo nie chcieliśmy jej powiedzieć, gdzie idziemy. Nic dziwnego. Przecież dziewczyna. — No więc poszliśmy.

— Teraz może zacznie się treściwiej?

Rzeczywiście, po tym wstępie, Bąk zabierał się do opowiadania poważnie. Jak zwykle w ważnych chwilach, zdjął okulary, a wszystkiemi palcami przeorał coś, co nazywał fryzurą. Potem ciągnął dalej z przejęciem.

— Pikulski zdobył sprytnie klucz od piwnicy. Pierwsza piwnica była jak każda. W lecie trochę kartofli, w paczce jakieś buraki, czy inna marchew. Zeszliśmy na drugie piętro, w głąb. Schodki były bardzo strome, i kiwały się. Ale nie dlatego, żeby były takie stare. Tylko w tej drugiej niższej piwnicy był węgiel, po który często chodził ktoś. Prócz węgla były tam na półce w kącie jakieś szanowne flaszki. Ale wtedy jeszcze nas flaszki nic nie obchodziły.

— Nie rozwlekaj, opowiadaj prędzej!

— Bąk począł recytować szybko jak wyuczoną lekcję: Były flaszki pewno z winem, ale myśmy się na tem nie poznali, bo...

— Nie chodzi mi o to, żebyś terkotał jak maszyna, ale o to, żebyś się jaknajkrócej streszczał.

— Dobrze! Poszliśmy do trzeciej piwnicy, zrobiliśmy przekop — ale nie znaleźliśmy tego, czegośmy szukali. — Sapnął i włożył okulary — Skończyłem.

— Ooo, ale jak to było?

— Bąk aż się zaczerwienił ze złości: „Widzisz, jaka ty jesteś. Sama nie wiesz, czego chcesz. Jak każda baba. Najpierw stawiasz mi warunki: żeby było zajmujące, a żeby to była prawda. Staram się jak mogę, pogodzić jedno z drugiem. Ciągle mi przerywasz. Raz ci za pomału. Opowiadam prędko. To ci źle. Chcesz powoli, a krótko. Mówię krótko. Też ci się nie podoba. — Co ty chcesz właściwie?

— Mój kochany, już nic nie chcę. Mów jak chcesz. Tylko skończ porządnie. Bardzo cię proszę!

Bąk był człowiekiem miękkiego serca, więc się udobruchał.

Do trzeciej piwnicy już nie było schodów, tylko dziura. Tam nikt nie wchodził. Ale strop był bardzo niski, więc powskakiwaliśmy tam po kolei, jak żaby w studnię. Ciemno też tam było jak w studni. Owionął nas chłód, wilgoć, i zapach zgnilizny. Zapaliliśmy świeczkę. Świeciła się słabo, chybotliwym płomyczkiem. Byliśmy ogromnie przejęci ważnością chwili. — Trzeba było szukać miejsca złączonego ścianą z przypuszczalnym grobowcem. Więc chodziłem naokoło ścian, i stukałem młotkiem zrazu nieśmiało drżącą ręką, potem silniej i pewniej. Z początku odpowiadał mi suchy odgłos kamienia, ale nareszcie ozwał się stuk inny i trochę pyłu posypało się z pod młotka. Stanęliśmy. Pikulski poświecił. Były to najwyraźniej zamurowane drzwi. I to nie kamieniem tylko cegłą. — Postanowiliśmy tutaj zrobić nasz przekop. Waliłem młotkiem z wielkim zapałem, kruszyłem cegły, wybijałem dziurę. Wkońcu posypało się więcej gruzu, i młotek wypadł mi z ręki — na tamtą stronę.

— Na tamtą stronę?

— Tak. Przebiłem dziurę na wylot. Byliśmy bardzo wzruszeni. Nawet nie żałowaliśmy młotka. Rękami z wysiłkiem, obłupywaliśmy kawałki cegieł z pokruszonego muru, aż otwór zrobił się wielkości głowy. — Teraz trzeba było zobaczyć, co jest z tamtej strony. Wziąłem świeczkę z ręki Pikulskiego i wsunąłem w wybitą dziurę. Przytknąłem ciekawie oczy. Koledzy pchali się za mną i pytali co tam widzę. — A ja widziałem długie skrzynie, jedna na drugiej, tajemnicze kształty naczyń i dużą masę, jakiejś ciemnej sylwety. Tajemnicze rzeczy. Grobowiec napewno. Przejęty wsunąłem rękę ze świeczką dalej. Wtem coś boleśnie uderzyło mnie po ręce. Wytrąciło święcę, która zgasła.

— Ach! Co to było?

— Pewnie cegła upadła z góry. Ale ja krzyknąłem przeraźliwie i odskoczyłem tak gwałtownie, że potrąciłem Pikulskiego. Ten padając pociągnął Dziubusia za sobą. Latarka elektryczna potoczyła się daleko, zapałki też gdzieś się podziały. Więc ze strachu, poczęliśmy pełzać w ciemności, szukając na ziemi jednego albo drugiego. Łapaliśmy się za nogi, za włosy. Dziubuś wsadził mi do ust swój kościsty palec. — Nareszcie znaleźliśmy latarkę. Z ulgą zaświeciliśmy. Papatrzyłem na kolegów. Dziubuś był aż żółty z bladości, Pikulski fioletowy jak burak.

— A ty?

— Ja? Pewno „w środku". Ja zawsze byłem ze wszystkiem „w środku" między niemi. Trochę tak, trochę tak. — Więc postanowiliśmy dalej prowadzić badania. Dziurę wydłubaliśmy tak długą, że już mogłem tam zmieścić ramiona. Teraz chciałem się przedostać na drugą stronę. Dziubuś nie, bo się bardzo bał, a Pikulski też nie, bo był za gruby. Ja ani się tak nie bałem, ani nie byłem taki gruby. Więc wepchnąłem ramiona, a potem ani rusz. Popychali mię z tyłu, bardzo silnie, żebym się ruszył naprzód. Bo ani w tę ani w tamtą stronę nie mogłem. Pchali jeszcze mocniej. Aż nagle wyleciałem jak z procy, za mną posypał się gruz. Upadłem na skrzynię. Załamała się podemną a ja wleciałem w coś, co było lepiące i mokre, i nie pachniało przyjemnie.

— Ach, ach!

— Narobiłem krzyku strasznego. W otworze ukazały się, panicznie przestraszone twarze moich kolegów, oświetlone latarką. Ryczałem, że wpadłem do trumny i że nie mogę się wydostać stamtąd. Włosy stanęły mi dęba na głowie, trzęsłem się ze strachu i obrzydzenia. — Wtedy dzielny Dziubuś zdobył się na czyn heroiczny. Prześlizgnął się jak wąż, przez otwór w murze i pospieszył mi na ratunek. Podał mi obie ręce i szarpnął silnie. Ale nie dość mocno mnie uchwycił, gdyż ręce moje wysunęły się z jego dłoni, a on zatoczył się w tył i runął do wielkiej beczki. Sterczały z niej chude nogi Dziubusia, i wydobywał się wrzask przeraźliwy. — Bąk umilkł przejęty wspomnieniami.

— No i co, no i co?

— No, a Pikulski wykrzywiony ze strachu wsunął rękę z latarką jaknajdalej w naszą stronę i oświetlił jasno ciemność lochu. Zmartwiały ze strachu rozglądnąłem się. — Bąk roześmiał się wesoło. — I wiesz co? Leżałem w skrzyni z jajami, a Dziubuś wleciał do beczki z kiszoną kapustą.

— Co? A to jakim sposobem?

— A bo „włamaliśmy" się do składu sklepu spożywczego.

— A ha, ha, ha, ha!

— No naturalnie, pozbyłem się strachu i wydobyłem się ze skrzyni z jajami, które były mocno nieświeże. Potem wyciągnąłem Dziubusia z beczki.

Bąk umilkł.

— No i cóż dalej?

— Dalej? Eh, już nic ciekawego. Wróciliśmy.

— A co potem?

— Potem? Poco poruszać bolesne wspomnienia?

Roześmialiśmy się obydwoje.

— Rozumiem już, dlaczego straciłeś zamiłowanie do archeologji.

— A widzisz!

MARJA WALTER-CRONECK

JANINA KAMIŃSKA.

ZE WSPOMNIEŃ KRYMSKICH

Tak cicho...
Księżyc za chmurę się schronił
I srebrną swoją tarczę
Rzęs frendzlą przysłonił
Z lekkich, białych obłoków —

— Zaduma,
Smętek wkradają się w ciszę...
Wiatru oddech tłumiony
Cichutko kołysze
Do snu srebrne oliwki...

— Tyle gwiazd!
Dziwnie błyszczą ich źrenice —
Tajemnym światłem płoną
Wszechświata strażnice
Na ciemnym stropie niebios...

— Tyle ich,
Każda inaczej się pali —
Tu rubin krwawy, ta znów
Od mlecznych opali
Wzięła łagodne barwy,

Ta błyszczy
Jak szmargd... Tam ciche skargi
Bezdennej wód głębiny
Szepcą morza wargi
Układając się do snu...

Wtem, nagle,
W ciszę wdarły się kaskadą
Tony słodkiej melodji...
— Przerażona zdradą
Cisza odeszła dalej,

— A tony
Pieszczone, jak grad perłowy
Rozsypują się, płyną...
— Kwiatów senne głowy
Podniosły się w zachwycie...

Łagodne
Tony wzmacniają się, rosną,
W akordach ich potężnych
Pieśń słychać miłosną,
— Za chwilę — skargą buchnęły —

— Do stropu
Niebios i do gwiazd dotarły!
Doszedłszy tam — na chwilę
Jak gdyby zamarły —
Skonały w swej potędze...

...Lecz znowu
płyną kaskadą perlistą —
— Zdumiony księżyc zrzucił
Zasłonę chmur mglistą
I słucha tonów pieśni.

Gwiazd roje
Pobladły... przed chwilą senne,
Pieśnią zbudzone morze,
Akordy płomienne
Zlewa z melodją tonów...

...Muzyka
Cichnie... Rozsuwa się, kona...
— I — zamknięta akordem,
Jak ptaszę zmęczona,
— Skonała... Cisza wraca...

M. CZERKAWSKA

WYŁOWIONY SKARB

Spadła w toń, utonęła ciężka troska,
Zbladło sine natężenie burzy...
Oto dym, strąd, zróżowiona wioska —
Jakżeż bezkres rybaka unużył.

Osmagany pletnią wodogrzmotów,
Jako z sadzy oczyszczony z pychy
Wali serca oszalały motor —
Dosyć, dosyć — przystań już, brzeg cichy.

Teraz życia wyłowione brzemię,
Z śmierci ślizkich rozpadlin i dołów,
Trzeba złożyć pokornie na ziemię
I podzielić się skarbem połowu.

MARJA DYNOWSKA

MUZEUM DZIEJÓW PRZYRODY W N. YORKU

Gdyby kto z nas miał pieniądze amerykańskie na zbyciu, tobym mu radziła zapisać się na członka *„Muzeum dziejów przyrody“* w New-Yorku. Za cenę trzech dolarów rocznie miałby bowiem prawo do otrzymywania gratis dwumiesięcznika tegoż Muzeum, przepysznie ilustrowanego i zdającego systematycznie sprawę z badań, ekspedycyj, odkryć dokonanych na całej kuli ziemskiej. Działalność to olbrzymia. W roku ubiegłym w numerze 2 września i października znajdujemy jej streszczenie, dokonane z racji sześćdziesięciodwuletniej rocznicy powstania omawianej instytucji. Niesłychana intenzywność pracy do jakiej Ameryka jest zdolna, rozmach mocny a jednocześnie w ścisłe ramy ujęty, uderzają w tem streszczeniu.

Muzeum dziejów przyrody powstało w parku nowojorskim w r. 1868. Założyciele jego, Albert Bickmore, William Dogde i Theodor Roosvelt w rodzaju manifestu stwierdzili, iż celem instytucji tej ma być nauka obok rozrywki i kierowanie umysłów młodzieży ku temu, by dzieła Stwórcy cenić i podziwiać umiała.

W jedenaście miesięcy potem środki materjalne, zdobyte drogą subskrypcji, wynosiły już czterdzieści cztery tysiące dolarów i Muzeum było w możności nabycia pierwszych czterech kolekcyj, na które złożyło się ponad dziewięć tysięcy okazów wypchanych ptaków, ponad osiemset okazów również wypchanych czworonożnych zwierząt, cztery tysiące szkieletów ze świata ssaków, ptaków, ryb i wężów, oraz specjalna ponad dwieście okazów wynosząca kolekcja fauny syberyjskiej.

I odtąd z roku na rok powiększały się nabytki muzealne. Gmach starego arsenału, w którym je pomieszczono, przestał rychło wystarczać. W roku więc 1874, w asystencji prezydenta Granta wmurowano kamień węgielny pod budowę nowego, specjalnie obmyślonego i rozplanowanego budynku, a właściwie całego kompleksu budynków, które dziś oglądane z lotu ptaka, wydają się fragmentem wielkiego miasta, ujętym w regularne ramy czworoboku.

Z biegiem czasu poza coraz potężniejącym wyglądem zewnętrznym i w ideologji kierowników muzeum dokonały się poważne zmiany.

Zbieranie i schematyczne gromadzenie okazów przyrodniczych przestawało im wystarczać. W obrębie gmachu muzealnego potworzono pracownie biologiczne wraz z pomocniczym aparatem bibljotek. Poczęto coraz bardziej dążyć do tego, by odkradać przyrodzie jaknajbezpośredniej jej tajemnice, jej twórcze procesy. Muzeum stało się więc inicjatorem licznych ekspedycyj naukowych i dziś tworzy rezerwaty w różnych częściach świata, wybiega poza ziemię nawet, obejmując zakresem swych badań zjawiska mteorologiczne i astronomiczne.

Mapy podawane w dwumiesięczniku, który jest jego organem na zewnątrz, zaznaczają stale ciemniejszemi punktami, gdzie, w jakiej części świata, w jakim kraju wytrwali badacze pracują w danej chwili na polu studjów przyrodniczych.

W ciągu ostatnich czterdziestu lat Muzeum zorganizowało około stu wypraw do wszystkich części świata, łącznie z wyspami i z strefą podbiegunową. W wyprawach tych brało kierowniczy udział ponad stusiedemdziesięciu uczonych. Badania przeprowadzone były w dziedzinie zoologji, biologji, anatomji, antropologji, etnologji, geologji oceanografji, mineralogji i paleontologji.

A poza wyprawami naukowemi rezerwatami i polami doświadczalnemi, których ilość stale wzrasta, nie zapomina Zarząd Muzeum o niesieniu pomocy

szkolnej przez kolekcje ruchome, rozsyłane po szkołach, przez przeźrocza, filmy, przez tworzenie mniejszych centrów nauki, popularyzującej najnowsze zdobycze i odkrycia naukowe.

Wewnątrz gmachu macierzystego wre też nieustanna praca. Odbywają się tam stale wykłady. Ociemniali mają w jego salach możność zaznajomienia się z przyrodą przy pomocy badań, w których wzrok zastąpiony jest dotykiem. Umiejętnie dobrani przewodnicy nie ustają w trudzie oprowadznia zawsze tłumnych gości. Klub astronomiczny ma w salach muzealnych swe siedlisko. Tam też nauczyciele znajdują zawsze czynną pomoc, o ile pragną powiększyć swe wiadomości dydaktyczne i metodyczne w dziedzinie nauk przyrodniczych. Nie brak też i zajęcia i pracowników w dziale wydawniczym, który ze swych drukarni śle w świat dzieła trwałej, naukowej wartości.

Niesłychanie ciekawe szczegóły podaje omawiany numer *Dziejów przyrody* (taki nosi tytuł czasopismo muzealne) o tych procederach, które mają na celu preparowanie okazów zwierzęcych, przeznaczonych do zbiorów. Dawniejszy schematyzm, dawniejsza martwa jednostajność w szeregowaniu tych okazów ustapiły dziś w zupełności. Po niesłychanie pracowitem wypchaniu danego zwierzęcia, przy której to czynności talent rzeźbiarza idzie o lepsze z dokładnością przyrodnika, gdyż manekin gipsowy musi być wykonany zgodnie z istotnemi kształtami — po pracach tych żmudnych i uciążliwych rozwija się dalszy ciąg zabiegów, chodzi bowiem o to, by dany specymen umieścić na tle odpowiedniem. Wszystko do tego podczas wyprawy przyrodniczej zostało już przygotowane. Malarze, towarzyszący uczonym porobili odpowiednie studja i notatki. Świat roślinny w jakiem dane zwierzę żyło, został zbadany. Niektóre jego próbki przywieziono ze sobą, inne na podstawie notat malarskich są odtworzone. I oto martwe zwierzę pojawia się nie jako objekt oderwany, ale jako cząstka organiczna większej całości, w której flora i fauna łączą się ze sobą, by dać pełny, do rzeczywistości podobny obraz. A poza pracami pomocniczemi, talenty malarskie i rzeźbiarskie mają wdzięczne i bogate pole do twórczości samodzielnej. Ściany bowiem muzeum nie świecą dziś martwą bielą. Rozwijają się na nich barwne sceny flory i fauny egzotycznej, bezpośrednio podpatrzone i odtworzone. A potężne kształty niektórych ssaków powstają w wiernych kopjach pod dłutem rzeźbiarza.



500-LETNI JUBILEUSZ ŚMIERCI ŚW. JOANNY D'ARC

Joanna d'Arc urodziła się 6 stycznia 1412 r. w wiosce Domremy, na pograniczu Lotaryngji i Szampanji. Rodzice jej, średnio zamożni wieśniacy, posiadali niewielki kawałek ziemi i Joanna od wczesnego dzieciństwa pomagała im w zajęciach gospodarskich. Pobożna, pracowita i wesoła, szczególną miłością ku biednym zjednywała sobie serca otoczenia. Miała lat trzynaście, gdy po raz pierwszy usłyszała dziwne „głosy", zapowiadające jej powołanie do wielkich dzieł, a później wzywające do niesienia pomocy królowi.

Zrozumieniem Świętych poznała nakaz Boży — z męstwem i wytrwałością Świętych wolę Bożą spełniła.

Był to okres nieszczęsnej dla Francji „wojny stuletniej"[1]. Większą część kraju zajęli Anglicy, naród upadł na duchu, król Karol VII stracił nadzieję ratunku.

Joanna według otrzymanych wewnętrznie wskazówek udała się do Roberta de Beaudicourt, dowódcy miasta Vaucouleurs, prosząc, by ją stawiono przed króla. Niezrażona dwukrotną odmową, ponawia prośby. Beaudicourt odsyła ją 23 lutego 1429 r. do Chinon, gdzie przebywa Karol VII. Ten nie daje wiary jej słowom, lecz gdy Joanna wyjawia mu jego najskrytsze myśli — uznaje jej posłannictwo i wyprawia ją do Piotiers, gdzie zbiera się parlament.

Nowe badania — przesłuchiwania — i nowe „głosy" wskazujące Joannie sposób postępowania.

Po kilku tygodniach Joanna otrzymuje zbroję i garść wojska, na którego czele 27 kwietnia wjeżdża do Orleanu. Wiejska dziewczyna nieznająca arkanów strategji, lecz wierna łasce w sposób mistrzowski prowadzi wojsko, odnosi szereg zwycięstw, Anglicy odstępują od brzegów Loary, Joanna udaje się do króla i skłania go, by koronował się w Reims, 17 lipca 1429.

Opieszały Karol VII. nie umie wykorzystać zwycięstw, ni zapału ludu i wojska. Joanna dwukrotnie chce wracać do swej wioski, lecz gdy ją zastrzymują — walczy dalej. Słyszy „głosy", zapowiadające, że będzie w niewoli i 23 maja w czasie wycieczki do Compiègne wpada w ręce Jana Luksemburga, który ją sprzedaje Anglikom.

Osadzona w więzieniu w Rouen, oskarżona o czary i kacerstwo, nie da się zachwiać w wierze w świętość swego posłannictwa. Po niecnym procesie i wyroku sędziów, Francuzów, ginie na stosie 30 maja 1431 r.

W 1456 r. sędziowie mianowani przez papieża Kaliksta III. po rewizji procesu ogłaszają w Rouen niewinność Joanny.

Papież Benedykt XIV. uznaje, że nie ma wątpliwości o darze prorockim, wierze katolickiej, dziewictwie i nienaganności obyczajów Joanny.

Pap. Leon XIII. rozpoczyna, a w 1904 r. pap. Pius X. kończy proces jej beatyfikacji.

Papież Pius XI. w 1920 r. ogłasza jej kanonizację, a dzień jej śmierci, 30 maja, staje się drugiem (obok 14 lipca) świętem narodowem Francji.

Obchód pięćsetlecia Świętej Joanny rozpoczęto we Francji w lutym 1929 r. uroczystościami odprawianemi kolejno w miejscowościach uświetnionych czynami Świętej.

Polska łączy się z Francją w hołdzie składanym bohaterskiej Dziewicy. — W znaczniejszych miastach naszych, od W a r s z a w y począwszy, odbyły się w dn. 9—13 bm. uroczyste nabożeństwa i akademje, przy licznie zebranej publiczności z dostojnikami kościelnymi i państwowymi na czele, przy współudziale uczonych francuskich i polskich.

---

[1]) Wojna francusko-angielska w latach 1337-1453. Głównym jej powodem była rywalizacja przemysłowa obu tych państw, oraz pretensje królów angielskich do korony francuskiej.

W Krakowie akademja urządzona staraniem Katolickiego Instytutu Naukowego oraz Koła Przyjaciół Francji miała charakter bardzo podniosły. W pierwszem przemówieniu rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Załęski podkreślił u Joanny d'Arc zwycięstwo ducha, łaski nad materją. Lektor języka franc. na Uniw. Jag. p. Maureau Reibel przedstawił postać Joanny na tle stosunków współczesnych. Prof. Folkierski w charakterystyce jej lat młodzieńczych uwydatnił gorącą miłość ojczyzny, Ks. Prof. K. Michalski wykazał chrześcijańskie cechy tej miłości u Joanny, w której rozumowy intelektualny daimonion [1]) Sokratesa zmienił się na daimonion serca — uczucia. „Jeżeli naród ma być wielki i potężny, to w duszy każdego obywatela musi tkwić Boskie daimonion. Musi istnieć w nim chrześcijańska miłość „Charitas" — miłość, która spala się i daje. Dwie pieśni ku czci miłości wyśpiewano w literaturze świata: w Symposionie Platona i w Listach św. Pawła. Miłość w pojęciu Platona dąży z ziemi ku górze — miłość chrześcijańska zdąża z wyżyn by dać się ludziom i ich przeniknąć". — Prof. Dąbrowski w końcowem przemówieniu wykazał, że genezy wielkich idei poruszających wieki średnie należy szukać we Francji, gdzie wytworzyło się pojęcie rycerza chrześcijańskiego, skąd wyszedł impuls do krucjat. Znaczenie postaci pasterki-rycerza polega na wykazaniu, że niema dla rycerza sytuacji beznadziejnej, bo męstwo i wiara zawsze są zdolne uchronić naród.

[1]) Daimonion. — Określenie używane przez Sokratesa, oznaczające głos wewnętrzny, budzący przeświadczenie o zgodności postępowania z prawami moralnemi.

MAJOWE NABOŻEŃSTWO

Na rozstajnych drogach — za wsią,
niewprawna ręka wiejskiego snycerza
wyrzeźbiła Madonny twarz.
Przychodzą do Niej w maju
dzieci jasnowłose, bosonogie
i z poważnemi twarzami
mówią: „wszystkie nasze dzienne sprawy".
Potem mieszają kolorowe wianki
i odchodzą ciche, wziąwszy się za ręce.
A wtedy
rozszumią się modlitwą ukojoną
głosy przyrody.
Więc najpierw
pacierze ptasie płyną w niebiosy.
— Zdrowaś Marjo,
ptaszki Twoje
Cię proszą
o ziarna, muszki, o słońce ukochane.
Święta Marjo,
Matko Boża
módl się za Swoim drobiazgiem
teraz i w ostatnią chwilę.
Cisza...
...aż nagle ozwią się gęśliki słowicze
pochwalnym hymnem...
A po nich szept płynie,
wonny, przyziemny szept:
— Pod Twoją obronę uciekamy się
białe lilje nieskalane,
służebne Twe, o Matko najbielsza z kwiatów.
I my — zioła — kornie Cię prosim,
racz opieką nas darzyć
Panno chwalebna
i błogosławiona,
Orędowniczko nasza,
Opiekunko nasza,
Miłościwa Królowo
zsyłaj rosę nam ożywczą,
odwracaj gradowy deszcz i zimno,
daj łaskę braci kwietnej
u stópek Twych zawiędnąć...
Liljowe dzwonki przedzwoniły
i cisza zaległa nocna.
Skończone majowe pól nabożeństwo,
Jeno księżyc-wędrownik odwieczny —
oświeca Marji twarz
w rozkwitłych tumanach jabłoni...

Baśka Marcinkowska

MODLITWA DO NAJŚW. PANNY

Idziesz przez drogę mleczną,
zasnutą miljonem brylantowych gwiazd,
...tulisz do serca Najświętszego Syna —
— gwiazdy się ścielą pod Twe Stopy białe: —
— daj-że nam sławić Twą przedwieczną chwałę
Matko Jedyna!

Prawdą odwieczną
w dusze się wbija hasło,
że nam króluje Jezus Maryja.
— daj — bym tę wiarę aż za grób zaniosła —
a chociaż jestem i prochem, i niczem
bym klęknąć kiedyś mogła przed Twojem Obliczem
— Pani litosna. —

Z Imieniem Twojem wszędzie jest tak jasno,
pod Twoją dłonią rozświetla się mrok —
Ty nam królujesz na ziemi i w niebie

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

ŻYCIE RELIGIJNE

Dnia 3 maja obchodziliśmy uroczyście w całej Polsce narodowe i kościelne święto **Królowej Korony Polskiej.** Początek tego święta sięga czasów Jana Kazimierza, składającego dn. 1 kwietnia 1656 r. w imieniu swojem i narodu, przysięgę wierności królowej Niebieskiej. Wtedy nuncjusz papieski po raz pierwszy przy odmawianiu litanji loretańskiej dodał wezwanie: „Królowo Korony polskiej módl się za nami“. — Obecni powtórzyli je z uniesieniem i weszło ono w zwyczaj w całej Polsce. W 1920 r. papież Benedykt XV. włączył tę inwokację do litanji publicznej.

Uroczystość Królowej Korony Polskiej ustanowił papież Leon XIII., wyznaczając na nią pierwszą niedzielę maja, a panujący obecnie Ojciec św. Pius XI. przychylając się do prośby naszych biskupów, przeniósł tę uroczystość na dzień 3 maja i w sierpniu 1924 r. podniósł do godności święta kościelnego.

Wystawa sztuki religijnej otwarta w Katowicach w pierwszych dniach maja zgromadziła rzeczy wielkiej wartości artystycznej, między niemi takie, jak witraże: Mehoffera i Wyspiańskiego, obrazy: Malczewskiego, Adama Chmielowskiego i wiele innych. Obraz Chmielowskiego, przypominający pod względem wyrazu dzieła Fra Angelica, interesuje też osobą twórcy, który porzucił sztukę, by jako brat Albert służyć najuboższym.

Tydzień Misjologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim, urządzony staraniem Kół Misyjnych Akademików i Akademiczek U. J. miał, jak zwykle na celu zaznajomienie szerszych warstw społeczeństwa polskiego z zagadnieniami misjologji i historji misyj. Program Tygodnia obejmował cykl wykładów stojących na poziomie ściśle naukowym, wygłaszanych przez profesorów polskich uniwersytetów: Limanowskiego z Wilna, Estreichera, Lehr-Spławińskiego, Wrzoska, Dąbrowskiego, i ks. Glemmy z Krakowa.

We Włoszech rozpoczęły się uroczystości związane z obchodem **700-lecia św. Antoniego.** Ten serdecznie czczony i u nas Opiekun biednych, ur. w Lizbonie 1195 r., pochodził ze znakomitej portugalskiej rodziny Bulhan.

i oto dzisiaj — tak prosimy Ciebie:
ażebyś zorzą rozbłysła poranną
— Najświętsza Panno. —

Wiem, iże miłość nie jest nadaremną...
— wiara, nadzieja do Boga prowadzą.
Lecz z Twem Imieniem nigdzie nie jest ciemno,
Ty w niebo swoich zawiedziesz najprościej:
— Drogo Światłości. —

Jak kłos pszeniczny na polu się złoci
Twoja nad światem wyciągnięta ręka —
— patrz — iże każdy z nas przed Tobą klęka
— Pani Dobroci. —

Prowadź więc każdy Twoich dzieci krok
aż do niebieskich bram —
w ojczyźnie naszej weź władztwo na nowo
jak byłaś ojcom, tak bądź-że i nam
Polski KRÓLOWĄ. J. O.

Na chrzcie św. otrzymał imię Ferdynand, imię Antoniego otrzymał w klasztorze. Wstąpił najpierw do Nowicjatu kanoników regularnych, później, zapalony żądzą męczeństwa, prosił o przyjęcie do Braci Mniejszych i o wysłanie na misje do Afryki. Przyjęty i wysłany na misje, wrócić musiał dla braku zdrowia i zasłynął we Włoszech jako kaznodzieja, pogromca Albigensów, a zwłaszcza jako pełen miłości opiekun biednych.

Jeżeli kiedy to dziś przykład ofiarności dla ubogich, jaki nam daje św. Antoni, winien nas zagrzać do naśladownictwa. Kryzys gospodarczy wzmaga ubóstwo i nędzę szerokich rzesz. — Nie rozdawanie tego, co nam zbywa, lecz dzielenie się tem, co nam konieczne z biedniejszymi od nas, jest dziś obowiązkiem każdego chrześcijanina, każdego prawego obywatela.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki połud. silnie rozwija się akcja liturgiczna. Głównymi kierownikami tego ruchu są OO. Benedyktyni z Collegeville, wydający miesięcznik liturgiczny: „Orate fratres“ i prowadzący szkołę śpiewu liturgicznego.

Zawiązało się też w Ameryce Stowarzyszenie liturgiczne, mające na celu popieranie duchowe i praktyczne współpracy tych, którzy interesują się sztuką kościelną.

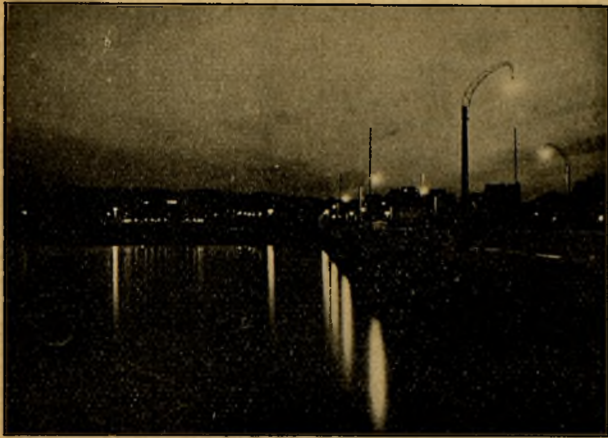
SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE

Dziesięciolecie oswobodzenia Śląska obchodzono uroczyście w Katowicach. Mszę św. w katedrze odprawił J. E. ks. biskup częstochowski Kubina. Po południu przybył Pan Prezydent Rzeczypospolitej, I g n a c y M o ś c i c k i, witany owacyjnie. W przemówieniu swem p. Prezydent podniósł zasługi matek polskich na Śląsku, które ucząc dzieci pacierza i mowy polskiej uratowały tam polskość.

W sprawie reformy konstytucji księża biskupi złożyli projekt, uwzględniający postulaty katolickie i wykazujący niedociągnięcia w tej mierze tak w konstytucji marcowej jak w nowym projekcie rządowym.

Szybki rozwój Gdyni, a zwłaszcza portu gdyńskiego niepodoba się Niemcom, więc starają się urobić opinję zagraniczną wykazując, że port ten nam niepotrzebny, bo powinniśmy „wykorzystać“ port gdański.

Wileńszczyznę nawiedziła niebywała klęska powodzi. W akcji ratowniczej zaszczytnie zaznaczyła się organizacja Czerwonego Krzyża.



Port w Gdyni w nocy

Obecnie w całym kraju zbierają składki na nieszczęśliwych powodzian.

Dnia 13 maja odbyły się wybory prezydenta Francji. W pierwszem głosowaniu żaden z kandydatów nie otrzymał wymaganej większości głosów. W drugiem znaczną większością przeszedł **Paul Doumer** dotychczasowy prezes senatu.

Paul Doumer ur. 22 marca 1857 r., pochodzi z rodziny robotniczej. Łącząc pracę naukową z zarobkową, ukończył uniwersytet, był profesorem i publicystą. Karjerę polityczną rozpoczął w 1888, zdobywając kolejno poważne stanowiska. — W 1917 r. stojąc na czele komitetu: „Des forces militaires slaves au ministère de la guerre", oddał duże zasługi przy organizowaniu armji polskiej we Francji.

W Hiszpanji wybuchły groźne walki antyreligijne. Tłumy napadają na kościoły i klasztory, niszczą bezcenne zabytki sztuki. Prócz ofiar w ludziach, wyrządzono już szkody na 4 miljony dolarów.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

„Tydzień Dziecka" rozpocznie się w Warszawie w niedzielę 24 b. m. uroczystościami urządzanemi w obrębie zakładów opiekujących się dziećmi. W dniu „Święta Dziecka" 26 b. m. zwolnione są z lekcyj dzieci szkół powszechnych i trzech pierwszych klas szkół średnich. W parkach zorganizowane będą zabawy dla dzieci, pod kierunkiem instruktorów wychowania fizycznego, wieczorem — bezpłatne przedstawienia w kinach. „Tydzień Dziecka" złączony będzie ze „Świętem zabawek". W projekcie jest „pochód zabawek" które w imieniu dzieci Warszawy, wytwórcy ofiarowują dla dzieci Wilna. Tydzień dziecka zakończy się 31 maja „Świętem Matki".

Zlot harcerzy słowiańskich odbędzie się w Pradze w dniach od 26 czerwca do 4 lipca b. r. Wyprawa harcerska z Polski udaje się w liczbie 2.000 osób, w tem 300 harcerek. Zlot skupi skautów z Czechosłowacji, Jugosławji, Bułgarji i Polski. Wezmą też w nim udział skauci rosyjscy z emigracji, w tem jedna drużyna rosyjska z Polski, należąca do Zw. Harc. Polskiego. Skaut naczelny świata lord R. Baden-Powell, obiecał przybyć na zlot do Pragi wprost z międzynarodowej konferencji skautowej w Wiedniu.

Wielka linja lotnicza od Gdyni przez Gdańsk — Warszawę — Lwów — Czerniowce — Bukareszt — Sofję i Saloniki połączyć ma w lipcu b. r. Bałtyk z morzem Egejskiem. Dzięki temu połączeniu podróż z nad morza Bałtyckiego do Egejskiego, trwać będzie półtora dnia, zamiast czterech dni, jak było dotychczas.

Dzień współdzielczości odchodzony będzie dnia 14 czerwca b. r. we wszystkich krajach należących do międzynarodowego Związku spółdzielczego. W Polsce dzień ten będzie szczególnie uroczyście obchodzony, ze względu na 25-lecie ruchu współdzielczego, zaczętego u nas w 1906 r. w Warszawie przez Towarzystwo kooperatystów. W tymże roku ukazał się pod redakcją Stanisława Wojciechowskiego pierwszy numer czasopisma „Społem".

Ignacy Paderewski przybędzie do Poznania na uroczystość odsłonięcia pomnika Wilsona, w dniu 4 lipca. Jest to dzień narodowego święta, St. Zjednoczonych.

Międzynarodowe Zawody Strzeleckie, Myśliwskie i Łuczne zostaną otwarte we Lwowie

dnia 23 sierpnia b. r. pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej. Zawody te urządzane poraz pierwszy w Polsce będą największą u nas międzynarodową imprezą sportową. Do Międzynarodowego Związku Strzeleckiego należy 29 państw, z tych 10, mianowicie: Brazylja, Danja, Finlandja, Francja, Grecja, Hiszpanja, Norwegja, Szwajcarja, Szwecja i Włochy już zgłosiły swój przyjazd do Lwowa. Na podstawie przeprowadzonej korespondencji organizatorzy zjazdu spodziewają się przybycia reprezentacyj reszty państw, do M. Zw. należących.

Inżynier K. Grochowski z Charbina ogłosił w Charbińskim „Wychodźcu" wyniki swych bardzo bogatych w ciekawe rezultaty badań, nad wulkanem Er-Ke-Szan znajdującym się o 400 km. na północ od Charbina. Zdobyto także bogaty zbiór wykopalisk rzucających nowe światło na dawne dzieje Mandżurji.

W Niemczech wchodzą w użycie papierowe butelki do mleka ¼ i ½ litrowe. Mają one tę przewagę nad szklanemi że mleko w nich się lepiej przechowuje, bo nie ulega działaniu promieni słonecznych.

W 1930 r. minęło sześćdziesięciolecie istnienia kanału Suezkiego. Na uroczystość otwarcia kanału 1870 r. miała być odegrana opera „Aida", zamówiona w tym celu u Verdiègo. Znaczenie tego kanału ilustrują cyfry. W jednym tylko n. p. 1929 r. przepłynęło przez kanał Suezki 7.438 okrętów, wedle cyfr zamieszczonych w „Przyrodzie i Technice".

SPRAWY KOBIECE

Zjazd pań z Zarządu Międzynarodowej Unji Związków kobiecych odbędzie się w Warszawie w dniach od 28 maja do 1 czerwca b. r. Od 28-30 maja obradować będą członkinie zarządu, przedstawicielki Belgji, Francji, Anglji, Austrji, Niemiec i Włoch, oraz 10 delegatek, między niemi przewodnicząca młodzieży żeńskiej w Meksyku. 30 maja przybędzie do Warszawy przewodnicząca Unji p. Steenberghe Engeringh i doradca duchowny Mgr. Hoogveld, celem wzięcia udziału w końcowych obradach zarządu Sekcji Młodych. 31 maja i 1. czerwca obrady całego Zarządu. 2. czerwca wspólna pielgrzymka do Częstochowy. — Tematem obrad będą kwestje międzynarodowej działalności kobiet, ruchu robotniczego, nowych metod pracy społecznej apostolskiej, organizacyj młodzieży we Włoszech, prześladowania w Meksyku. Referaty wygłaszane będą w języku francuskim.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

Dotkliwą stratę poniosło piśmiennictwo polskie i społeczeństwo polskie.

Dnia 7 maja zmarł w Warszawie **Zdzisław Dębicki**, utalentowany poeta, wytrawny krytyk, zdolny publicysta, a nadewszystko człowiek wielkiego serca, mający „święty dar ogarniania miłością wszystkich" niedoszłych do jego miary.

Na kilka dni przed śmiercią przyznano mu literacką nagrodę m. st. Warszawy. Orzeczenie sądu konkursowego brzmi: „Pisacz-obywatel o kryształowym charakterze; poeta o duszy tak wrażliwej, jak liść mimozy, na wszystko, co związane z Polską w przeszłości, w teraźniejszości i przyszłości; liryk — o głębokiej zadumie i tęsknocie i nieskazitelnej formie; krytyk o szerokim poglądzie, opierający się w swych sumiennych sprawiedliwych sądach na niepowszedniem literackiem i filozoficznem opanowaniu przedmiotu i zdający sobie sprawę z ważności każdego słowa sądu, jak zbożny ogrodnik hodujący nietylko ręką ale i sercem płonki młodej roślinności. — Zdzisław Dębicki, parafrazując znaną maksymę starołacińską „Homo sum", może z dumą i z czystem sumieniem oświadczyć: „Polakiem jestem i nic, co się tyczy Polski, nie było mi obcem".

Oto źródło jego publicystyki, której całożyciowem zadaniem była wierna służba ojczyźnie.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Rzepecka Zofja: „W służbie dobra i prawdy“ (Poznań. Nakł. Zjednoczenia Młodz. Polsk. 1931). Autorka, jedna z czołowych przedstawicielek katolickiego ruchu kobiecego daje tu szereg wykładów, referatów wygłaszanych na kongresach, obchodach, kursach. Przemyślane głęboko, poruszające kwestje żywotne, zajmują zarówno młodzież jak i starszych. Dla młodzieży specjalnie przeznaczone są referaty takie jak: „Moja przyszłość“, „Kultura towarzyska“, „Sprawie służ“, „Do młodej — o życiu“ i inne. Bardzo ciekawy referat: „Zagadnienia kobiece w oświetleniu katolickiem“ daje rzeczowe ujęcie kwestji kobiecej, omawia charakter ruchu kobiecego w Polsce, postulaty katoliczek, prawo do kształcenia się i równouprawnienia politycznego. „Eucharystja w życiu kobiety“ — referat wygłoszony w czasie Kongresu Eucharystycznego w Poznaniu, omawia zwrot kobiet ku samodzielności, środowiska pracy zawodowej, wybór i przygotowanie zawodowe, wyrobienie wewnętrzne, ujemne wpływy w pracy zawodowej, nieuniknione przykrości — w których siłą nam — Chrystus. Głęboko pomyślany referat o „Znaczeniu cierpienia“, które pogłębia zdolność do szczęścia, zaostrza myśl i uszlachetnia serce, pociąga już samemi tytułami rozdziałów. Cała książka przedstawia dużą wartość tak ze względu na treść jak i formę, ładny, żywy sposób przemawiania i staranne wydanie.

Podoleński St. ks. T. J. „Kwiat Marji“ (Wydawnictwo ks. Jezuitów. Kraków 1931. Wyd. 2-gie) „ku czci Niepokalanej Dziewicy — Dzieciom Marji na pamiątkę“ — skreślony w sposób bardzo prosty, a pełen uczucia, obraz życia jednej z ich towarzyszek — dobrej Oli, cichej, skromnej, a głęboko wewnętrznie wyrobionej. Dużo poważnych myśli pobudzających do zastanowienia. Książeczka ładnie wydana, w jasnej barwnej okładce, ozdobiona fotografjami nadaje się na upominek w dniu pierwszej Komunji św., lub w dniu przyjęcia do Sodalicji.

Meissner Janusz: „Licznik z czerwoną strzałką“. (Nakl. Książnica-Atlas Lwów 1931). Nowele lotnicze — a cechą ich brawura, rozpęd — lot i gruntowna znajomość omawianego przedmiotu. Fantazja artystyczna stąpa tu po realiźmie przeżytych faktów, budzi cześć dla bohaterów — a czytelnikowi żal się trochę robi, że wysoko kierujący swe maszyny lotnicy — w grozie śmierci serc nie wznoszą jeszcze wyżej. Całość bardzo zajmująca i starannie wydana.

Jankowski Edmund: Sad i ogród owocowy“ (Wyd. 5-te z licznemi rysunkami. Nakl. księgarni św. Wojciecha. Poznań 1931). Gruntowna ta praca znakomitego naszego pomologa, poświęcona hodowli krzewów i drzew owocowych może oddać wielkie usługi hodowcom i właścicielom sadów. Napisana przystępnie — zajmie nawet początkujących, napisana z chęcią służenia krajowi — zyska uznanie wszystkich podobnie myślących. — Na wakacjach młodym naszym gosposiom bardzo się przyda.

Szpotański Stanisław: „Bez ziemi i bez nieba“. (Księgarnia św. Wojciecha, Poznań). Powieść historyczna z czasów rabacji chłopskiej w 1848 r., wykazuje chytrość austrjacką używającą nieoświeconych chłopów dla gotowania zguby szlachcie — a przez nią i narodowi. Dowódca chłopów, Szela, przedstawiony wyraziście, ze spokojem, odrażająco. Całość bardzo zajmująca.

O. Halecki: „Św. Joanna d'Arc, szkice historyczne, wydane w 500 letnią rocznicę zgonu“ — (Warszawa 1931. Katol. Wyd. „Kronika Rodzinna“). To zbiór referatów opracowanych przez Koło Historyków Uniw. Warszawskiego, pod redakcją prof. Haleckiego — omawiających stosunki polsko-francuskie w dobie wojny stuletniej, rolę dziejową Dziewicy Orleańskiej, proces w Rouen.

ODPOWIEDZI CZYTELNICZEK

Zamiast odpowiedzi od Redakcji umieszczamy dziś odpowiedzi Czytelniczek w sprawie poruszonej kwestji obowiązkowej służby obywatelskiej kobiet. (Patrz nr. 2 i 8 Dziś i Jutro. Rocznik VII). O nadsyłanię dalszych odpowiedzi — jak również „odpowiedzi na odpowiedzi“ — prosimy.

1.

Projekt obywatelskiej służby kobiet uważam za bardzo piękny, ale za prawie utopijny.

90% kobiet dąży do ukończenia studjów, nie dla przyjemności i rozrywki, ale dla konieczności, więc ten rok obowiązkowej służby społecznej oddalałby ją od możności zarobkowania.

W dzisiejszych warunkach zwłaszcza, nie mogę wyobrazić sobie inaczej tego „wojska“ kobiecego, jak garstkę zamożnych i nudzących się panien.

Jednakże nie mogę zupełnie odrzucić myśli o obowiązkowej pracy obywatelskiej. Chciałabym jednak, aby to była obowiązkowa praca społeczna kobiet w określonym wieku, nie odciągająca ich od innych zajęć. Np. codzień godzina lub kilka godzin pracy dla kraju czy społeczeństwa

Janina K.
III r. Uniw.

2.

Projekt obowiązkowej służby obywatelskiej kobiet podoba mi się, uważam jednak, że czas trwania jej obliczony na 1½ roku jest za długi, zwłaszcza dla tych, które mają zamiar kształcić się dalej.

Z. S.
III. r. Uniw.

3.

Projekt powszechnej służby kobiet — jest cudny, ale wykonanie go nasuwa mi moc wątpliwości. Państwo polskie jest tak ubogie, że nie stać go na wielkie koszty wprowadzenia w czyn tego projektu. A przytem zdaje mi się, że czas nasz od zdania matury aż do zamążpójścia należy wyłącznie do matki. Nie jest to „postępowe“ przekonanie na dzisiejsze czasy, ale ja go nie zmienię! — Czas ten jest niezmiernie ważny dla wyrobienia charakteru. Jak szalenie dużo zawdzięczam mojej matce! Ona to ukształtowała we mnie niewyraźny przedtem ideał „żony“, ona pomaga mi dojrzewać duchowo co dzień, co chwila, przy różnych okolicznościach codziennego, domowego życia. Źle byłoby, gdyby służba powszechna oderwała córki od matek.

Basia.

4.

Projekt obywatelskiej służby kobiet podoba mi się i uznaję go za słuszny. Korzystając z tych samych praw obywatelskich co i mężczyźni, którzy obowiązkowo idą do wojska, powinny i kobiety włożyć pewną dozę swej pracy dla państwa.

Jednakże, zdaje mi się, że powinnyby od niej być zwolnione te kobiety, które podejmują studja wyższe, które mają obowiązki utrzymania rodziców, opiekę moralną nad młodszem rodzeństwem.

Maryla P.
I r. Un.

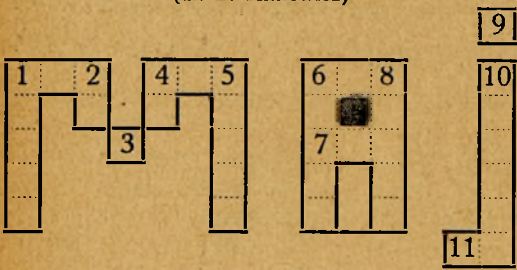
5.

Wszystko, co o projekcie obywatelskiej służby kobiet wyczytałam bardzo mi się podoba i zgodziłabym się na wszystko.

Zocha C.
III kurs sem.

ŁAMIGŁÓWKI

ŁAMIGŁÓWKA
(uł. B. Kikiewicz)

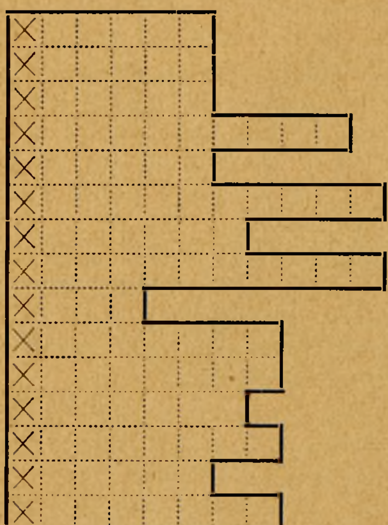


Pionowo: 1. Imię męskie, 2. Rzeka łotewska, 3. Samogłoska, 4. Nuta, 5. drzewo owocowe, 6. Rasa psa, 8. zwierzę domowe zdrobniale, 10. Miasto we Włoszech.

Poziomo: 1. Papuga, 4. Zwierzę zdrobniale, 6. Ciecz, 7. Grecka litera, 11. Mieszkanie pszczół

ŁAMIGŁÓWKA
(uł. Wanda Gadamowiczówna)

A czy znasz malarzy polskich?



Litery oznaczone krzyżykami, czytane z góry na dół dadzą nazwisko znanego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1. Tytuł obrazu Wojciecha Gersona, 2. Tytuł obrazu A. Piotrowskiego, 3. Tytuł obrazu Jacka Malczewskiego, 4. Tytuł obrazu Piechowskiego, 5. Tytuł obrazu Z. Rozwadowskiego, 6. Nazwisko znanego malarza, który uwiecznił na płótnie czasy Nerona, 7. Nazwisko malarza Krakowa i Warszawy m. in. Tarasy Zamku Warszawskiego, 8. Nazwisko i imię znanego malarza współczesnego, 9. Nazwisko malarza portrecisty, 10. Cykl obrazów Grottgera, 11. Tytuł obrazu Rychter-Janowskiej, 12. Nazwisko twórcy obrazu: „Powrót z jassyru", 13. Tytuł obrazu J. Matejki, 14. Tytuł obrazu A. Grottgera, 15. Nazwisko współczesnego malarza pejsażysty (wspak).

MATUŚ MOJA...

Raz, w przybytkach Twoich Boże
Z kolorowych szyb witraża
Łaski Twojej święte zorze
Skry rzuciły do ołtarza.

A w ołtarzu rozjaśniała
Nad Dzieciątkiem pochylona
Marji słodka twarz — patrzała
Matka święta rozmodlona.

Czyje oczy tak patrzały?
W czyich oczach taka miłość drga?
Czyje oczy tak kochały?
. . . .

Matuś moja, przecież Marja Twoje oczy [ma...

Wanda N.

TREŚĆ Nr. 9.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.
Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

DRUKARNIA
POLSKA KRAKOW